

KROSY

Opismo Ilustrowane Tygodnikowe

N° 394.

Warszawa, d. 4 (16) Stycznia 1873 r.

TOM XVI.

Prenumerata w Warszawie:
 We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie:
 rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67 i pół.
 Cena pojedynczego Numeru kop. 20.

Wydawca S. LEWENTAL.

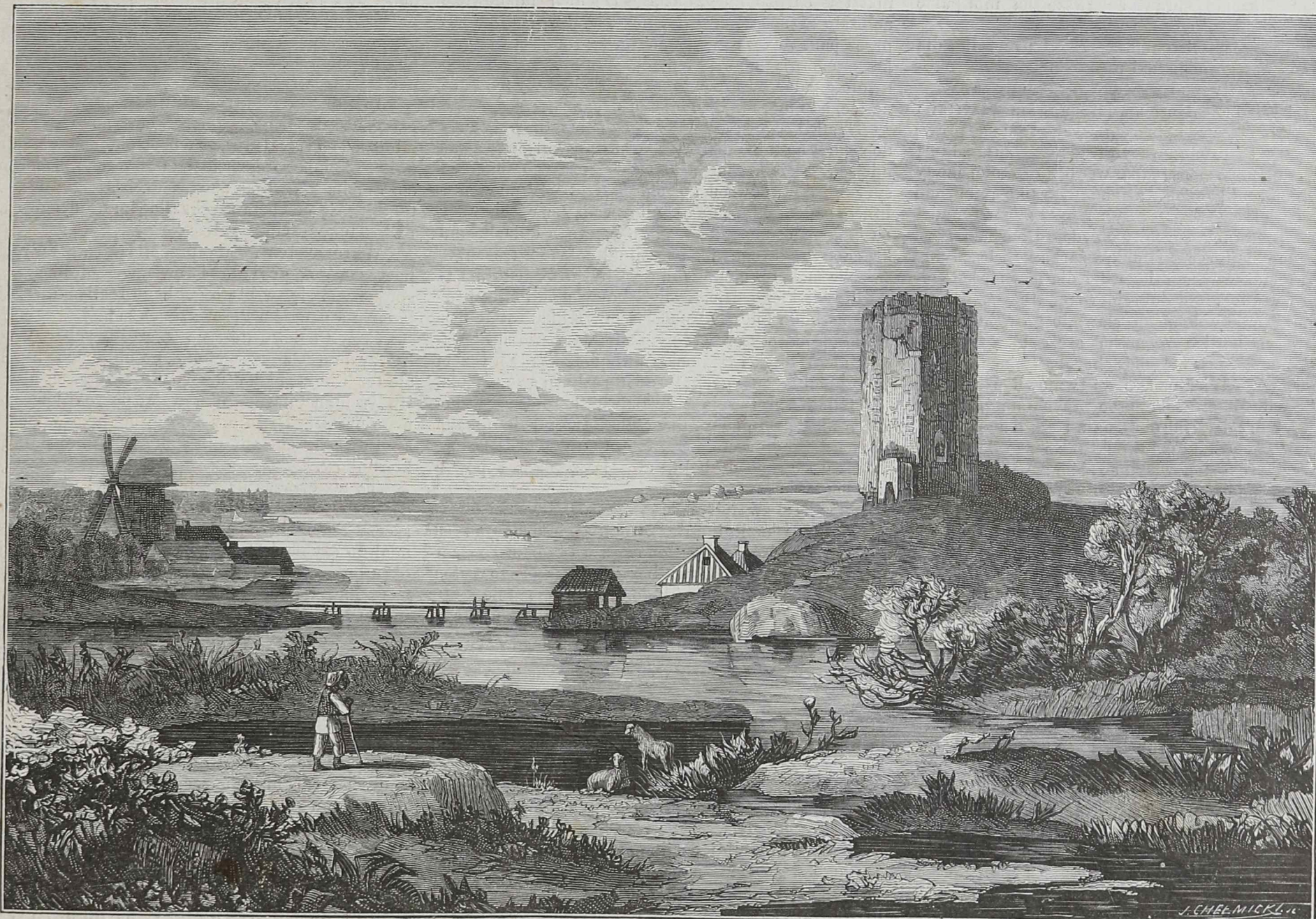
W W. Ks. Poznańskim: u *M. Leitgeb* i *Sp.* kwartalnie talar. pr. 2 i pół,
 wraz z przesyłką pocztową w opasce.
 W Cesarstwie Austriackim: u *Gubrynowicza* i *Schmidta* we Lwowie:
 kwartalnie flor. 3 kr. 60; na prowincyi, z przesyłką pocztową, flor. 4 kr. 40. —
 U *D. E. Friedleina* w Krakowie: kwartalnie flor. 3 kr. 30; na prowincyi,
 z przesyłką pocztową, flor. 3 kr. 82.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 Kwartal. rsr. 3, półrocz. rsr. 6, rocznie rsr. 12.

Ekspedycja główna w drukarni S. LEWENTALA, Nr. 1566a.



R. (MONOGRAFIA)



MYSZA WIEŻA W KRUSZWICY NAD GOPLEM.

(2363)

CO ICH ZBLIŻYŁO?

P O W I E Ś Ć

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg. — Patrz Nr. 393.)

Pan Innocenty chciał koniecznie dla siebie zdobyć stanowisko, jakie się jego majątkowi należało. Nie wiedział tylko, jakimi drogami takie stanowisko się zdobywa.

Próbował różnych, najczęściej niewłaściwych, a gdy mu się te nie udały, zwątpił o sobie i wszelkie swoje nadzieje przelał na syna, o którym miał wysokie wyobrażenie.

Wybrał więc dla niego drogę, jaką zazwyczaj podobni ludzie chodzą: chciał go dobrze, nie według dawnych swoich zasad, ale według dzisiejszego swego pojęcia ożenić.

Dobrym ożenieniem uważał on obecnie skoligacenie się z jakimś znakomitym domem.

Pomiędzy takimi domami wpadł mu najprzód pałac z czerwonym dachem, koło którego przynajmniej raz na miesiąc na jarmarku do obwodowego miasta przejeżdżał.

I w samą rzecz czerwony pałac miał bardzo wiele ponęty. Już samą pozycją na wzgórzu dominował nad okręgiem sześciu wsi, i wyglądał jak rozparty na zielonym dywanie magnat, przed którym bracia szlachta w skromnych sześciu dworach uniżenie czapkowała. A dwanaście karczem stały widocznie z odkrytą łysiną naokoło, a niektóre z nich nawet pochylały się ku ziemi z wielkiego uszanowania przed dygnitarzem.

Takie wrażenie sprawiał zawsze na nim pałac czerwony.

W rzeczywistości pałac czerwony nietylko dla pana Innocentego miał taki urok. Wszystkie okoliczne dwory były pod wrażeniem tego uroku.

Najprzód pani Hermina imponowała wszystkim sąsiadkom wyższm, kobiecym wychowaniem, prawdziwie paryżką pronuncyacją francuzczyzny, suknią z długim ogonem podpinaną według ostatniej mody olbrzymimi tulipanami, a nadewszystko relacyami swemi z wielkiego świata. Ona była żywym modelem dla zachowania się przy obiedzie i herbacie, od niej uczono się nosić z fantazyą zarzutkę i baszłyk.

Nie mniej też i pan Jaxa był dla pewnej kategorii mężczyzn wzorem dobrego tonu. Już samo wyższe zamiłowanie w koniach stawiało go w hierarchii społecznej na bardzo wysokim szczeblu. Choroba bowiem końska jest wszędzie chorobą tylko wyśokięj arystokracji. Więc pan Jaxa wmówił w siebie tę chorobę, aby się zrównać, albo przynajmniej zbliżyć do tych, którzy tę chorobę już z rodu dziedziczyli.

Jak każdy wielki człowiek, tak i pan Jaxa miał na tym wyższym stanowisku swoim zapalonych adoratorów i mniej więcej szczęśliwych naśladowców. Cała jego postać, jego szkielet w oku, jego szpicrutą nieodstępna i buty angielskie, były wzorem dla wielu.

Pan Hipolit sprowadzał z Wiednia takie same kołnierzyki jakie nosił pan Jaxa, chociaż te kołnierzyki nielitościwie krótką szyję mu krajały. Ferdus zapuścił podobniuteńkie bakenbardy i tylko utyskiwał, że są czarne, a nie rude. Pan Koźmian i Damian, bracia bliźniacy rujnowali się, aby mieć takie karykle, jakie zazwyczaj ma dziedzic czerwonego pałacu. A poczciwy pan Szymon głodził nielitościwie swoje domoroste chabety, aby tak chudo wyglądały, jak folbluty pana Jaxy.

Słowem właściciel czerwonego pałacu był znakomitością w obrębie sześciu wsi i trzech przysiółków, nie licząc w to pustek i tak zwanych leśniczówek.

Na tak znakomity dom padło oko pana Innocentego.

Pan Jaxa miał dwie córki. Jedna z nich była mniej ładna, więc warunki były łatwiejsze. Przy takiej kolligacji mógł pan Innocenty śmiało sięgnąć przy synie po estymę obywatelską i ostatnie dni pracowitego swego żywota przedrzęmac w krzesle aksamitnym ze złotą czapczką na głowie, w pantoflach także złotem wyszywanych!

A marzenie to szczęśliwego dorobkiewicza nie było czczeniem marzeniem!

Jakoś na końskim jarmarku zeszedł się z panem Jaxą, bąknął coś o potrzebie zbliżenia się, z czego mogłaby może wynikać korzyść zobopólna...

Pan Jaxa szybko odczytał tajne myśli pod szpakowatą czupryną nowego dziedzica, uśmiechnął się dyplomatycznie, podał mu rękę, a nawet w ramię go pocałował.

Pan Innocenty nie spał po tym pocałunku przez trzy noce i zapomniał o ulubionej zupie piwnej, i w nadmiarze szczęścia kupił ślepego konia za zupełnie zdrowego.

W czerwonym pałacu myślano także przez kilka dni o bogatym dorobkiewiczu, i uznano wreszcie, że jakie takie zbliżenie nic nie zaszkodzi.

A myśl ta nawet w pewnej chwili krytycznej, gdy „Jagiello“ zakładu nie wygrał, a Izraelita z miasteczka zbyt poufale w pałacu się odzywał, nabrała tyle uroku i rozkoszy, że pan Jaxa ujrzawszy wózek pana Innocentego, poskoczył do niego i pocziwego dorobkiewicza serdecznie uściskał.

Przy tej sposobności, ku większej jeszcze radości dowiedział się od pana Innocentego, że Bazys w tych dniach z Belgii powraca, i że nieomieszka zaraz w pierwszych dniach złożyć czerwonemu pałacowi swoje winne uszanowanie.

Skutek tego spotkania i tej nowiny już widzieliśmy. Sromotna burza, która z powodu niezdarne-go „Jagiello“ wisiała nad czerwonym dachem, zamieniła się w pogodę, a niktby tego i na wołowej skórze nie spisał, co pan Innocenty namarzył sobie w dalszym ciągu podróży, do czego jednostajne dudnienie kałamażki korzystnie go usposabiało.

Takie to były dodatnie strony historii owych dni dziesięciu. Nie brakło także i ujemnych, ale na te nikt tak bardzo nie zważał. Do nich mianowicie należało zrzucenie mostku, nakazane w owej chwili przez pana Jaxę, a wykonane przez Wojtkę i Szymka z energią godną lepszej sprawy. Miało ono uwolnić pałac od fur chłopskich, które były zmuszone jechać inną, mniej dogodną drogą.

Skutki tego strategicznego pomysłu były widoczne. Koło pałacu była cisza przyzwaita, a na miejscu, gdzie stał mostek, leżały sterty połamanych sprych i dzwonów od kół chłopskich. W nocy osobliwie żaden chłop nie uszedł szwanku, a wjechawszy na mniemany mostek wozem o czterech kołach, miał się za szczęśliwego, jeśli się mógł cofnąć o trzech.

Nie mała też niedogodnością był brak tego mostku dla bliźkiego dzierżawcy, który o kilkaset kroków na boku mieszkał pod lasem. Kilkakrotnie usiłował go nawet sam własnym sumptem swoim naprawić, ale Wojtek i Szymek zjawiali się każdym razem jako nieublagani egzekutorowie rozkazu swego pana.

Kilka dni trwała prawdziwie heroiczna walka o ten mostek między dzierżawcą a jurgieltnikami pałacu. Zdobywano i tracono tę strategiczną redutę i znowu stawano do boju, aby ją zdobyć i potem stracić.

Wreszcie zwątpił dzierżawca o skutecznej obronie mostku i kapitulował. Zrobił sobie drogę po za gumna, a podróżnych chłopów z wozami ze zbożem oddał opiece Pana Boga, bez wiedzy którego żaden wróbel z dachu, a więc i koło z osi nie spadnie.

Tak stały rzeczy, gdy przy schyłku dziesiątego dnia wrócił Bazys z zagranicy w progi ojczyste.

VI.

Bazyli miał teraz lat dwadzieścia sześć. Klucznica pana Innocentego, sędziwa Anastazy, daleka krewna, która opuszczony przez prawowitą gospodynię dom prowadziła, nie mogła dosyć nadziwić się jego urodzie. Osobliwie duża, starannie pielęgnowana czarna broda, która przy bladej, sympatycznej twarzy dobrze odbijała, imponowała jęj najwięcej. Do tego wzrost słuszny, czoło białe, wypukłe, i swobodne ruchy, dodawały tej brodzie jeszcze więcej uroku. Najmocniej jednak przemawiały do jęj serca duże szafirowe oczy, w których przy pozornym spokoju malowało się jakieś głębokie, tęskne rozrzewnienie, będące wesołym i spokojnym uśmiechem na ustach czasami w jakiejś dziwnej, nieokreślonej sprzeczności.

Shczęśliwy ojciec nie analizował jednak w ten

sposób pojedynczych wdzięków swego syna. Wprawdzie typem wyższej piękności i dystynkcyi był u niego pan Jaxa, nie gniewał się jednak, że Bazys nie miał bakenbardów angielskich, ani czapczki zokey-skiej, bo gdzieś na jarmarku, czy jakimś zjeździe obywatelskim widział księcia Ireneusza także z taką brodą. Zresztą jakiś instynkt wewnętrzny powiedział mu, że syn jego bardzo przyzwoicie wygląda, i nie masz nad niego drugiego w całym powiecie, któryby go urodą przewyższał.

Pierwszy dzień po przyjeździe Bazylego był w Sopotówce dniem pewnego radosnego oszołomienia. Pani Anastazy wystąpiła z całą swoją sztuką kucharską i obsypała ulubienca najwyszukaniejszymi bakaliami. Pan Innocenty raz po raz zapalał krótką fajeczkę i nie wiedział o tém, że we fajce już dawno nie było tytoniu, tylko sam popiół w kilkakroć przepalony.

Wypytywał się o Niemcy, Belgię i Francję, o cenę zboża i okowity. Bazyli odpowiadał na wszystko z wielką przytomnością umysłu, mówił wiele o różnych uprawach ziemi i narzędziach gospodarskich.

Pan Innocenty rozkoszował się słuchając syna, i z każdą minutą utwierdzał się więcej w przekonaniu, że syn jego wyrównywa zupełnie księciu Ireneuszowi, i że w całej jego postaci, mowie i manierach nie ma ani odrobiny tego, coby przypominało jego dorobkiewczowskie pochodzenie. Poczciwy pan Innocenty wstydził się bowiem teraz tego, co właściwie powinno być jego zaletą.

— On lepiej potrafi żyć po pańsku, niżeli ja — mruzczał sobie półgłosem, zapalając po raz dwudziesty przepalony popiół we fajce, a gdy jeszcze zostanie zięciem pana Jaxy...

Tu urwał marzenie, bo płomyczek z zapalniczki, zamiast do fajki, wszedł mu pomiędzy palce. Strzepnął palcami, kopnął psa, aby ból swój czymś przysłuszyć, z czego korzystając Bazyli, wstał z krzesła, aby po miejscach swoich wspomnień młodszych trochę się rozpatrzeć.

Już to w ogóle trudno u nas, przy wychowaniu naszym, o drogi pośrednie. Niedawno był czas, kiedy młodzież nad „Dziady“, „Nieboską komedję“ i „Przedświt“, nie innego nie widziała. Wraz z wielkim poetą rzuciła kłatwę na „kupeczących“ i „giełdę“, kontentując się pewnym nieokreślonym uczuciem i weale nieprodukcyjnym zapalem.

Wkrótce ten „szal“ przeminął, a z wysokości poetycznego poglądu i mrzonek nihilistycznych, spuszczano się w błoto grubego realizmu. Między jednym a drugim nie widziano żadnej drogi.

Bazyli należał do tych szczęśliwych wyjątków, którzy może zbyt wysoko po obłokach nie latali, ale też i zbyt nisko nie spadli. Pierwój ukończył studia humanitarne, nim wziął do ręki księgę realnego życia. To utrzymało go niejako w pośrodku tych dwóch, zawsze dla społeczeństwa szkodliwych kierunków.

To też chociaż przez trzy lata był uczniem agronomicznej szkoły w Belgii, gdzie tylko z produkcją rzeczy realnych za pomocą środków najrealniejszych miał do czynienia, nie pozbył się jednak owej nieokreślonej oscylacji serca, która na chwilę odrywa nas od świata rzeczywistego i sprawia nam rozkosz niewysłowioną, bez której w życiu tak trudno się obejść.

Po pierwszej dłuższej rozmowie z ojcem i panią Anastazyą wyszedł Bazyli na otwarte pola, ale nie dla tego, aby według nabytej nauki zbadać składowe części roli, lub z flory wnioskować o kryjących się w ziemi skarbach. Wszystko to, chociaż dobre i pożyteczne, odłożył na później, a dzisiaj chciał zadośćuczynić idealniejszej stronie życia, która w tej chwili mu się odsłoniła — chciał wspomnieniom najpierwszej młodości kilka chwil poświęcić.

(D. c. n.)

Muezzin wzywający do modlitwy.

Pięciokrotnie w ciągu 24-ch godzin, staje na krużganku meczetu ślepy muezzin, aby grzmącym głosem wezwać do modlitwy wiernych wyznawców proroka. Wrażenie, jakie wywiera ta wyniosła, fa-